MAREK KOŁODZIEJSKI

SZEŚĆ WIERSZY DLA TOWARZYSTWA GEOGRAFICZNEGO

SZEŚĆ WIERSZY DLA TOWARZYSTWA GEOGRAFICZNEGO

1.
Od dziecka fascynowało mnie zabijanie.
To trudne do wyjaśnienia. Proszę jednak
nie myśleć, że zwariowałem. Spójrzcie
na dzikich: żyją tak, jak polują. Bestie
dysponują nieskończoną cierpliwością.

Większość biorących udział w polowaniu
ma erekcję. Samo zabijanie jest barwne.
W każdej chwili możemy stać się miazgą,
aż do wgniecenia i zmieszania z błotem
i kałem. Nie da się o tym nie myśleć.

Martwe samice należy jak najszybciej
wydoić. Błędem byłoby przykładać do
tych wydarzeń europejską miarę. Dzicy
są dzicy w dosłownym znaczeniu. Dusza
zmarłego jest mściwa i nieobliczalna.

2.
Najbardziej zręczny i odważny otwiera nożem
drogę do wnętrza ciała. Wpełza tam i odnajduje
worek wody, znajdujący się w żołądku.

Odcina go i wynosi na zewnątrz. Woda jest
wypijana wśród okrzyków radości. Dzicy
delektują się napojem. Worek zostaje zachowany.

Nurek ponownie zanurza się w lepkiej ciemności
martwego ciała. Tym razem jego celem jest serce.
Ten skarb należy do przywódcy, nawet jeśli jest nieobecny.

Trzecie wejście do wnętrza martwego kolosa
stanowi rodzaj nagrody. Śmiałek brnie przez stygnące
wnętrzności. Przeciska się w stronę głowy.

Przysadka mózgowa stanowi cel tej mozolnej podróży.
Jej natychmiastowe zjedzenie gwarantuje boską moc,
którą tubylcy utożsamiają z okrucieństwem.

3. (UROCZYSTOŚCI ŻAŁOBNE)

Na każdym kroku widuje się
obcięte głowy zamarynowane
dymem z liści drzew i octem
wytwarzanym z odwłoków mrówek.
Wywar powstały podczas obróbki
głowy stanowi wielki przysmak.

Tymczasem w chacie zaczynają
lamentować specjalnie sprowadzone
płaczki. Ich lament zbiega się
w pewnym momencie, tworząc
poruszającą harmonię.

Do śpiewu przyłączają się bębny
i wkraczają tancerki. Tańczą nago
nad twarzą zmarłego, a po każdej
sekwencji całują go w usta.

Na koniec czarownik wpija się
w usta zmarłego i wysysa resztę
powietrza pozostałego w płucach.
Następnie obcina się głowę. Reszta
ciała zostaje w pośpiechu zjedzona.

4.(UROCZYSTOŚCI ŻAŁOBNE II)

Po spożyciu ciała zmarłego,
odbywa się tajemny obrzęd
zakrapiany alkoholem

tak straszliwym, że nikt
przy zdrowych zmysłach
nie śmie nawet go próbować.

Po wytrzeźwieniu, co zajmuje
sporo czasu, wszyscy uciekają
do lasu, porzucając wioskę.

Obawa przed zemstą ducha
zjedzonego krewnego jest
tak wielka, że nikt nie wraca.

5.
Ten, kto tańczy, nie czuje już
swego ciała i żyje w nieznanym
świecie. Widuje się całe wioski
bez reszty porwane tańcem.

Tańczy się aż do ostatniego
tancerza. Muzyka bębnów
nie jest konieczna. Mówią,
że wystarczy pulsowanie krwi.

6. (WŚRÓD KARŁÓW)

Nie wolno zapominać, że karły tworzą odrębną rasę. Przypominają skrzyżowanie małpy z dalekim przodkiem człowieka.

Badania genetyczne potwierdzają przynależność karłów do rasy humanoidalnej. Na tym jednak podobieństwa się kończą.

Całe ich życie upływa pośród fetyszów i duchów. Jako najmniejsi pośród małych czczą wielkich bogów. Wyznają religię wysokości.

W stołecznym mieście marynowany karzełek jest poszukiwanym przysmakiem. Ważne: patroszenie nie jest mile widziane.

* * *

To ja mówię: kolonialna wyobraźnia białego - pojechać tam,
a później jądro ciemności albo trywialny sklepik.
Buntownik ładnie się komponuje ze sklepową ladą.
O dżungle, o pustynie, o sawanny – przypraw mamy wiele.

W XX wieku myśli się inaczej. Jest zgoda na muchy
wszechmocne i zapach trudny do zniesienia. Egzotyka,
w porządku, ale prysznic i lód do drinków są obowiązkowe,
podobnie klimatyzacja w każdym pokoju.

Proste równanie, każde wyjście jest białe. Bowlesowie
byli tam najdłużej. Bitnicy szybko się zniechęcili. - Nie ma życia
poza NY. – Opiewam trzeci świat, ale mam wymagania.
Rimpocze nie był ortodoksyjny. – Niech syci pocieszą głodujących.

- Och, chłopcy, sprawiacie kłopoty? Biali nie mają wyobraźni,
zaś kolorowi mają jej zbyt wiele. Pokażę wam ropiejącą ranę,
w jej zagłębieniach, w fioletach, rodzi się życie nowe,
poetom nieznane. Jestem Rimbaud, wiecie co to znaczy?

STARE PRZYJEMNOŚCI W MŁODYM ŚNIEGU

Udziela mi się, całkiem niespodziewanie, smutek
saksofonowej solówki i zdaje mi się,
że czuję desperację i rozpacz kierowców tirów,
bo spadł śnieg i do wiosny daleko.

Tymczasem do saksofonu dołączają inne instrumenty.
Smutek zostaje rozpisany na kontrabas i bębny.
Pakistańska ekspresja kierowców wielkich ciężarówek
znika w przydrożnej zaspie.

W tej chwili nie ma już smutku. Zmierzcha, a prognozy
źle wróżą. Wszyscy opadamy z sił. Brakuje
szufli do śniegu i wiary w wiosnę. Jedziemy
na ostrym deficycie.

Z tego wszystkiego kupiłem bimber z Kentucky.
Będzie grzesznie i wesoło. Sofa czy fotel? Wciąż
mamy wybór. Możemy liczyć tylko na śnieg
i smutek w kostkach lodu.

UWERTURA

Wszystko jest kwestią stroju. Lubię
strojenie w kwintach! A przodem kontrabasy.
Grube nuty punktujące dyszkant skrzypiec
i mrok wielkich bębnów, w którym
kryje się nasz strach i nocne poty.

Przestroiłem się w dół o jedną oktawę,
słychać? Mogę grać kluczem, ile tylko
zechcę, bo dziś preferuję partie solowe.
Metronom zostaje zaprzęgnięty do roboty.
Gram nieparzyste podziały do śpiewu.

Sam się dziwię, znów piosenka? Śpiewam
o grubym, spuchniętym facecie, co
mieszka w ciasnej norze. Zagadka polega
na tajemniczym wytwarzaniu rozległej,
bezkresnej przestrzeni z niczego.

Obudziłem się wcześnie, harmolodyczne
przebudzenie. Wszystko naraz, a tak
chciałem muzyki i harmonii. Co miałem
robić? Nie pozostało nic innego,
jak zrobić wszystko samemu. Posłuchajcie.

SUITA LIRYCZNA

Od rana zimno jak w Sopocie. Dziś nigdzie nie wypływamy.
Stan wód ukrywa się za embargiem. Cenzura strzeże cnoty.

- No co ty! Daj spokój, przestań się wygłupiać! - Nie pieję,
to kogut. Szukam jakiejś rozgrzewki. Nic z tego. Zimno.

Raporty o pogodzie są tajne. No dobrze. Teraz serio.
Po zakończeniu wielkiej wojny delegacje kompozytorów

wyruszyły do Wiednia. Wszystkie wróciły z partyturą
Księżycowego Pierrota. Tak to się zaczęło. Podróż do Wiednia

uchodzi do dziś za hołd dla sztuki. -A nie do Paryża?
- Czasem Paryż, czasem Wiedeń. Zmienna losowa.

- Pani rozumie? Na kogo padnie, na tego bęc! Dlatego
pisze się Paryż - Londyn - Nowy Jork! To symbol tajemnicy.

Muzyka na co dzień, przy jedzeniu, chodzeniu, a nawet spaniu.
Wszędzie słyszy się jeszcze Wagnera. Lubimy być wzniośli.

To pewien sposób myślenia o człowieku. Szuka się wyjścia.
A tu matnia, sznur, łańcuch. Czysta seria. Serializm.

Dziś nie było telefonu. Nie dzwoniła, więc życie bez cienia.
Słońce przesłania chmura, a jednak słońce świeci cały czas.

Jej telefon jest również taki jak to. Życie jest jak chmura.
Pojawia się, a później znika. Słońce świeci bez przerwy.

Alban Berg. Pet Shop Boys. Black Rhodium. Wolfson.
230 volt. Już wiem, to jak DJ 230 Volt! Ni mniej, ni więcej.

To było zakończenie. Teraz tylko dopiszę dla ścisłości.
Poproszę o arię z Dydony i Eneasza. Jedna aria dla rozpaczy.

W DRODZE

Piękno nienawidzi rozsądku? Tylko dlatego,
że trzeba wstać i pójść do pracy? A może
boi się konfrontacji? Fantazja o potędze ducha
kończy się trywialnie, liczeniem monet.

Co może piękno wobec kolejnego dnia? Czy
masz dość czasu, żeby o tym pomyśleć? Myślisz?
Oto idziesz, śniąc fantazję o idącym. Idziesz,
kochany na śmierć, a myślisz, że do pracy!

Będę patrzył jej w oczy do końca! Tak mawia
piękno zaprawione wzniosłością. I co, patrzy?
A gdzie tam! Martwi się oberwanym guzikiem,
plamą na koszuli. Patosu mu trzeba, nie odwagi.

Więc kiedy idzie, słyszy złote trąby, a także
werble i bębny bojowe! Głupie zwierzęta,
które rozdeptuje. Złe i głupie. One tylko umrą.
Jak fajnie jest umierać za coś! Siódma!

DWÓCH O ŚWICIE

Słońce! I taka jasność, jasność bez połysku!
Przezroczystość w całym paśmie! I architektura
chmur taka czysta i jednoznaczna, bez cienia rozmycia.

Katedry wypiętrzone wysoko! Wieże! Wspinam się
po schodach i dopiero tu, na wiadukcie: olśnienie!

Nic tego nie zatrze. Takiego światła i takiej przestrzeni
nie zmieni pochmurne popołudnie zapisu. Pamiętaj:
byłeś bezkresny we wszystkich dziesięciu kierunkach.

- Pamiętam. Pamiętam.

MGLISTY PORANEK

Gruszka jest gruszką. Jest gruszką.
Nie jabłkiem, ani innym owocem
późnego lata. Plamiasta, wabi osy
zapachem rozkładu. Fermentuje.

Gruszka jest gruszką i tylko gruszką.
Nie jest różą, nie różą, Gertrudo.
Wybacz, że żartuję. Twój wiersz
wzburzył Amerykę. Pamiętasz?

Idę przez poranne mgły. Mglisty
świat traci nieco swojej codziennej
grozy. Choć owoce dojrzały, róże
przekwitły, ranek jest taki piękny.

Osy uwielbiają gruszki. Słodycz
dojrzewa do lekkiego alkoholu.
Osy na rauszu! Od rana skłonne
do awantur. Tak kończy się lato.

PIASEK W OCZACH

Telewizor ponurym głosem lektora
mówi: bądź przeklęty! Bo telewizor
nie ma zahamowań.
To było wczoraj
wieczorem. Dziś jest dziś. Telewizor
milczy, zabrałem mu prąd, odebrałem
życie. Cisza i mrok ekranu.
Jutro może
pozwolę mu przemówić. Ale nie życzę
sobie sensacyjnych reportaży o zabijaniu,
ani innych życiowych sprawach.
Chcę
znaleźć kanał operowy, przerywany
na krótko jazzem. Ta forma istnienia
świata zupełnie mi wystarczy.
Całą resztę
i tak mam w domyśle.
Nawet bez prądu
wciąż patrzymy sobie w oczy, aż do
wyschnięcia spojówek. Dlatego łzy
okazują się niezbędne.
No tak,
płaczę z powodu suchych spojówek.
Ty też?

TOUT VA BIEN

dla Izy Chłond

Być sceną z filmu Godarda, z nerwowym
jazzowym tłem, z popielniczkami, z maleńkimi
filiżankami do esspreso, z rozpaczą,
która nie jest smutna.

Wczoraj wieczorem ulicę opanowały
długonogie owady. Wiersz Yeatsa spełniał się,
co do słowa. Wyroiły się nie wiadomo skąd,
wszystkie w elastycznych jeansach.

Czuję ich kroki. Idą po szarej pustyni
i mózg jest bezradny. Jest koniec października.
Jestem tym samym, co zawsze. Chciałbym
zatrzymać kilka chwil. Tam zostać.

Jestem tym nudnym filmem, z którego widzowie
wychodzą, trzaskając krzesłami. A on się
wyświetla dalej z rozpaczliwym uporem.
Jestem zapomnianym kinem na przedmieściu.

WYWIAD

- Jesteś enigmatycznym zjawiskiem.

- Jestem postacią, gram w komedii „Ratuj się, kto może”.
Nie, to kreskówka według wskazań tajnego kodu
dołączonego przez imperialistów do gumy balonowej.

Operator balonu przy sprzyjającym wietrze może
odlecieć co najmniej do pierwszej strefy wolnego świata.
Do takich wyczynów trzeba tylko mieć mocne zęby
i różowy balon nad głową.

Wyobrażałem sobie lądowanie na Faro. Plażą miał iść
Ingmar Bergman, a ja po polsku miałem zawołać
- Mistrzu! Dobre, nie?

Więc, wracając do naszej rozmowy, jestem postacią,
która nie wylądowała na plaży, nie poznała Ingmara Bergmana.
Na dodatek nigdy nie nauczyłem się wydmuchiwać
balonu z gumy Donald.

Czy mam mówić dalej?

BAJKA

Od rana w ekstazie, bo świat zniknął we mgle.
Nie ma świata! Pokłon przed ołtarzem i kadzidełko
zapalone w intencji. Śpiewam, bo nie ma świata.

Takie iluzje od rana w krwioobiegu. Jestem jak ćpun,
co zażył czerwoną pigułkę. Tak się cieszę z tej
nieobecności, bo świat bardzo mnie uwierał.

Kiedy jadę pociągiem, to nigdy nie wiem, jaką mantrę
śpiewać? Tę za pomyślność, czy dla umierających?
Świat bowiem straszny jest i ma wielkie zęby.

Szczerzy kły, warczy głucho. I tyle ma śmierci
dookoła i wciąż mu mało, wciąż nie dość! Więc,
kiedy zniknął, to się ucieszyłem. A on mnie cap.

Złe dziecko drażniło wściekłe zwierzę, aż ugryzło.
Głupie dziecko, co ulega zwidom. Mgła opadła,
świat wciąż był, tylko zęby miał większe.

ĆMY

1.
Biała ćma śpi na szybie. Śpi? Czy ktoś wie,
co robi ćma kiedy nie fruwa?

Z bliska wygląda jak wapienny krzyżyk. Szybka myśl
podsuwa metaforę: szkielecik nocy.

Ludzie muszą dużo ćwiczyć, żeby umieć tak
trwać nieruchomo. Tak, to wymaga lat treningu.

Pomyślałem z zazdrością, że gdybym umiał tak
siedzieć, to byłbym co najmniej buddą.

2.
I znowu myślę: facet (tak mówi jeden z tych,
co się podają za Kołodziejskiego, a przynajmniej
tak o sobie myślą w pierwszej osobie), głowa
ma siedzieć, dupa może latać.

A inny odpowiada: no! To jest wersja ułatwiona,
dla białasów, bo wiadomo, biali mają same ograniczenia
i krzesła w każdym pokoju na dodatek. Nie dasz
rady tak siedzieć, najwyżej rozwalisz sobie kolana.

3.
W tym miejscu przydałaby się jakaś głębsza myśl.
Coś, co można cytować i cieszyć się, bo głębia
nie ma dna i od rana do wieczora można w niej nurkować.

Nic z tego. W głowie pustka i zamiast refleksji,
o charakterze esencjonalnym jest tylko to,
co widzę. Patrzę na inną ćmę i mówię do niej:

Co za brak gustu! No, zobacz tylko, masz czarne
skrzydełka z różowym pasemkiem! Ale uważaj,
w tym świecie zawsze możesz trafić na lustro!

GRASZ DALEJ ?

Tymczasowy, doraźny, na chybcika, byle jaki,
plan na dzisiaj:

panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Skoro planowanie mamy z głowy, możemy się
zająć czymś ważniejszym, absolutnie zbytecznym i
bezinteresownie pięknym.

Do wieczora doglądać knotów obu źródeł światła,
ciemności.

Obowiązkiem latarnika jest uzupełniać naftę,
przycinać knoty, usuwać sadzę.

Na dnie znajduję drzwi i schody za nimi.
Schodzę w ujemną skalę dna.
To nie Kansas, Dorotko, to inny poziom gry.

INSTRUKCJA OBSŁUGI

Otwieram okno, żeby sprawdzić pogodę.
Widzę słońce i kilka chmur, ale potrzebuję
więcej informacji. Wyglądam i patrzę z góry.
Nie ma w tym przywileju, tylko konieczność.

Nie mieszkam zbyt wysoko, dlatego związek
z widokiem jest naturalny i pełen komentarzy.
Ludzie gadają i głosy niosą się w górę,
do miejsca, gdzie mieszkam i zapisuję.

Nie chciałem usłyszeć, ale usłyszałem.
Poznałem odczuwalną temperaturę i jeden sekret.
Sąsiad spod trzynastego ma tylko przepustkę,
wyjdzie na dobre za półtora roku.

Nic więcej, żadnej wizji. Klocki bloków
ustawiono naprzeciw siebie. Od jakiegoś czasu
są kolorowe, ale nadal czuć przypaloną cebulę.
Wentylacja nie działa. Założę sweter.

WIERSZ DLA ELŻBIETY LIPIŃSKIEJ

Prawda o życiu jest taka, że jest.
Można to łatwo sprawdzić, przykładając lusterko do
ust umierającego. Nic się nie dzieje, a umiera się
wiele lat. Więc spokojnie.

Każdy zdąży, panie podchorąży. Wcześnie wstałem
i zapisuję prawdę o życiu. Kot żyje, bo ma
pełną miskę każdego dnia. Mucha padła
z powodu zimnej jesieni.

A także z powodu ogólnego. Więc jedni żyją, a inni
już nie. Gramatyka oferuje dla takich rozważań
trzy czasy. Język polski jest ubogi w czasy,
dlatego moja refleksja jest płytka.

Za to grób jest głęboki, ale treść trzeba mu włożyć
w otwarte szeroko usta. On mówi głośno: aaaaaaaaaaa,
a my w tym czasie smyk, wkładamy treść. Cud,
że się nie zakrztusi.

Ciemność jest synonimem głębokości. Jak nikt nie rozumie,
to znaczy, że jest głęboko. Natomiast ten wiersz
jest płytki, bo wszystko w nim jasne i proste.
Och, to takie trywialne.

Prawda o życiu da się wypowiedzieć tak: życie,
jak motyl, skrzydła ma dwa, wdech i wydech.
A pośrodku jest śmierć, czyli czas bez wdechu/wydechu.
Pomieszane wszystko, wszystko naraz.

LISTOPAD W POLSCE

Od rana wkurwiają mnie katolicy.
Katolickie radio w ich domu
zagłusza wszystko dookoła.

A później jadę autobusem
przez ponury jesienny dzień i
oglądam ukrzyżowany krajobraz.

Nic innego nie widać. Do Jezusa
nie mam pretensji. Ale oni
mogliby chociaż raz go posłuchać.

Nie wkurwiać, nie dręczyć,
tylko nadstawić drugi policzek
do pocałowania.

LISTOPAD W POLSCE II

Nie ma historii
do opowiedzenia. Za oknem
jest ich wiele. Wszystkich
nie poznam, ani nawet większości.
Za oknem jest zagadka.

Tam jest deszcz, czasem mżawka,
później znów deszcz. Trzy koty
idą na paluszkach. Patrzę z wysokości.
Nie znam zakończeń, a zmyślać
nie będę, bo po co?

Mało mamy mitologii, religii?
Dość, dla każdego smaku.
Można się nażreć do syta i
poprosić o deser, zbawienie.
A wtedy bogowie i ich prorocy
opuszczą się na nitkach z sufitu.

Podoba mi się kocia religia.
Jest taka prosta i jakże skuteczna.
Tymczasem pada i gnije wszystko.
Patrzę na farmę śmierci, gdzie się
odbywa eksperyment, kto
wytrzyma dłużej.

Mówię do kota, bo nikogo innego
nie ma, a bogów i ich proroków
pomijam. - Nie ma historii, ale się
coś opowiada, gaworzy, jęczy,
bo zawsze jest nadzieja na
wysłuchanie.

LISTOPAD W POLSCE III

Brzydota nigdy nie przejdzie w piękno.
To jasne jak słońce lub inna oczywista prawda,
której nie trzeba udowadniać, bo sama
jest dowodem, który siebie poświadcza.

Natomiast ekstremalna brzydota może być
fascynująca. Dowodów dostarczają media.
Jakże często bohaterowie masowej wyobraźni
są potwornie brzydcy? No właśnie, sami wiecie.

Wyobraźmy sobie teraz bliskie spotkanie
ekstremalnej brzydoty z absolutnym pięknem.
Krótko mówiąc, spotykają się dwa przeciwstawne
wyobrażenia. Czy rodzi się z tego nowa wartość?

Dwa ekstrema znoszą się wzajemnie, matematyka
nie myli się w tej sprawie, a na powierzchnię
wypełza nudna prawda mówiąca o względności
wszystkich estetycznych sądów.

Ostatecznie nie to jest ładne, co jest ładne, tylko to,
co się nam podoba. Więc zabierz łapy z mojego
rozporka. Wyobraź sobie, co mogło być dalej.
Tak powstaje literatura i dyscypliny pośrednie.

LISTOPAD W POLSCE IV

Wszystko da się logicznie wytłumaczyć. Nie ma zagadek
tylko niedostatek wiedzy. Dzień był szary z brudnym,
topniejącym śniegiem. Od świtu czytałem napomnienia
martwego Mistrza. Wszyscy Mistrzowie są martwi,
nawet, jeśli żyją jeszcze w tym świecie.

I nagle niebo użyczyło mi odrobiny światła.
W pokoju zrobiło się jasno i w tej jasności zobaczyłem,
co każdy może zobaczyć: instytut logiki znajduje się
daleko od uniwersyteckiego kampusu. Rektor
podjął mądrą decyzję. Szaleństwo zdań prawdziwych
trzeba trzymać z dala od umysłów studentów.

Nie daje mi spokoju pewien obraz. Wszystkie zwierzęta
z transportu już zabito. Zostało jedno, ostatnie.
Zabójcom zabrakło środków zabijania, więc zwierzę
musi zaczekać. I czeka, nieporuszone, choć wie wszystko.

Rachunek zdań jest bezradny, bo strach się nie sumuje
i na nic kwantyfikatory. Strach jest poza sumą i różnicą.
Logika porządkuje pustkę języka. Natomiast Mistrz
mówi - przyjmuj wszystko i nie oceniaj. Następnym krokiem
jest demonstracja. - Widzisz? Nie ma się czego bać.

POL-SKA!

Jest niedziela, dlatego cała Polska
założyła białe koszule i popierdala
pod wiatr na rowerach.

W niedzielne południe Polska
wychodzi z kościoła i pije piwo.
Ci, co mają dalej, pilnują rowerów.

W niedzielę Polska zmienia akcent.
Rano mówi twardo. W południe
ledwie ją rozumiem, bo śpiewa.

Jest niedziela i koło czternastej
Polska zaczyna się prostować.
Równina to jest stan naturalny.

Równina, biała koszula, rower,
piwo. Pięćset kilometrów różnych
akcentów. Polska! Pol-ska!

* * *

W drodze powrotnej zostawiam ślady. Łatwo
mnie wytropić. Co za dziwne zwierzę,
myślą w ukryciu, bezpieczne. Najpierw
zjadło, bo podano do stołu, a teraz rzyga!

Rzyga indykiem, sosem, ziemniakami.
Rozbryzgują się długie włókna kapusty, ciemne
plamy kawy, wonne skupiska whisky.
Dlaczego jęczy? Dlaczego całe w potach?

O jak dobrze, jak miło, minęło rozjechanego jeża.
Nie zjadło, nie zabrało do torby. Dziwne zwierzę
zniknęło i nikt tu po nim nie płacze, nie tęskni.
Głupie stworzenie, duże i głupie.

Takie są najlepsze. Tysiące istnień tylko
czeka chwili. Znajdą mnie łatwo. Wszędzie,
zostawiam ślady. Niech już przyjdą, niech żrą.
W torbie mam lnianą szmatkę, teraz ich kolej.

ODCZYTY

Czas był brzemienny. Proszę o powagę, to się zdarza
w najlepszej rodzinie. Chwila nieuwagi zupełnie wystarczy.
Dochodzenie, kto z kim, nic nie da, niczego nie wyjaśni.

Więc czas był brzemienny i wszędzie widać było znaki
przyszłych zmian. Jakby czas dał na zapowiedzi. Wiatr
wiał od miesiąca i zwiewał nas z kursu. Giełda szalała.

Stan błogosławiony obfitował w wyskoki. Raz
kiszone ogórki z miodem, kiedy indziej lolitki z wasabi.
Zapowiadało się ciekawie, a dobre miejsca były w cenie.

Uczestnicy tych zdarzeń nie pojmowali wyjątkowości sytuacji.
W końcu brzemienność czasu nie była tajemnicą poliszynela.
Dekodery tajnej policji nie rozgryzły sekretu odmiennego stanu.

Choć moda na panny z dzieckiem dawała do myślenia. Podobnie
karawany tirów błąkające się po lasach bez wyraźnego celu.
W przydrożnych barach wiele o tym szeptano.

Dlaczego nic się nie stało? Skąd nagle pojawiła się wiedza,
że nic z tego nie będzie? Zostajemy z komunijnymi zegarkami i
próbujemy nakręcaniem tego szmelcu ukryć rozczarowanie.

NIEMOŻLIWE/BOSKIE

Stany uczuć, niewinne. Raczej niskie, tyle co nic. Mizeria. Emocje najlepiej wyrażać ogonem. To precyzyjny nad wyraz środek komunikacji. Oczywiście nie mówimy o psim ogonie. Ten wyraża nieustający entuzjazm, a nie o to nam chodzi.

Komplikacje rodzą się na płyciznach. Jakieś węgle wygasłych dawno temu ognisk, sto deszczy wypłukało z nich karbon. Znikła czerń. Sadzę zabrała chmura, podobnie dym, zapachy i inne atrybuty ognia. -Słuchaj, dajmy temu spokój.

Tak się zaczyna poemat emocjonalnej posuchy. Widziałem kaktus, co miał parę oczu zręcznie wmontowaną między kolcami. Miało się wrażenie, że kolce są rzęsami. Ten kaktus mrugał, ale gdzie mu do elokwencji kociego ogona.

Susza, od tygodni susza i stany wciąż opadają. Odczytuję na wskaźnikach stany niemożliwe! -To nic nie było, taka iluzja. Liczniki są nieomylne. Niemożliwa skala emocji poniżej dna. Na takiej atrofii znają się krety, ryjące tunel.

-Nie wspominajmy, to nie zmieni wyników odczytu. Jest sucho i okolica żółknie oraz płowieje w zależności od pory dnia. Wybieram niewinność, bo nie wymaga tłumaczeń.
-Z tobą zacząłem i z tobą skończę. Kontrolki pulsują.

-Czy ciebie nie irytuje to czerwone, pulsujące światło?
Jak znosisz dzwonki alarmowe? Schodzę wciąż głębiej i głębiej w niemożliwe absurdy. -Dobrze, że nic nie mówisz. Zaczyna się skala ujemna, a ta wymaga niemożliwej ciszy.

PIERWOTNIE NIC NIE ISTNIEJE

Jak się masz, koteczku!
Stanisław Jachowicz

Onieśmielony nową klawiaturą siedzę cicho.
Jest cicho i żadnych widoków. Mam sterylne sny,
czy to jest przyczyna? Nie śni się. Ela
łowi sny na wędkę. Przed snem czyta książki,
to jest zanęta rzucona w ciemne wody.

Po przebudzeniu mam lekką głowę. Pod prysznicem
zmywam ślady lęku. W klawiaturze starego laptopa
znaleziono warstwy popiołu. Pan doktor
czyni mi wyrzuty. A to jest, panie doktorze, cena.
Tak się płaci, a poza tym wszystko i tak
jest popiołem.

Onieśmielony czytam w popiołach. Wiersz
konserwuje emocje. Popiół, żar, złudzenia.
Tak, iluzja jest zawsze punktem wyjścia. Wchodzisz?
Rzeczywistość jest nierealna, ale wejdź
onieśmielony, sterylny, spopielony.

LAMENT

Poza tą kartką jest lodowa pustynia.
Wszędzie, gdzie nie spojrzę, śnieg i lód.
Również tu, na metaforycznej kartce,
metaforyczny śnieg.

- Za dużo śniegu, za mało wizji. To
wywołuje przesyt, zimową zgagę.
Wiatr ma za nic regułę wiersza,
drwi z niej i od rana miecie
wachlarzami śniegu.

- Opowiem wam bajkę. Był sobie raz
Mikado, co miał całe cesarstwo śniegu.
Poddanych ścinał ostrym soplem.
Znacie to? Tym lepiej.

Jeszcze tylko chwilę polamentuję.
- Śnieg zatyka usta, zalepia oczy.
Czy się odnajdę, czy zdołam się podnieść,
by brnąć przez zaspy do domu?
Czy będą ranki wiosenne
i letnie wieczory z nawoływaniem
chłopców grających w piłkę?

- O słońce, czemuś mnie opuściło?

KIEDY PRZYCHODZISZ

Kiedy przychodzisz, bo musisz przyjść
po najdłuższej nawet przerwie, powietrze żelazieje.
Oddycham tym gęstym, opiłkami, rdzą.
I nawet nie zakaszlę.

Powietrze metaliczne, a światło gaśnie, ciemnieje.
Nocy nie ma, cóż bym w on czas począł bez
zegarka naręcznego i wszystkich innych?
Byłbym jako ślepy a głuchy.

Tak bywa tym, co w dziecięctwie nałogowo
przymierzali krawaty, a żadnego nie użyli.
Stanowią nadmiar, superatę, z którą nie wiadomo,
co zrobić. Złość księgowych i złe sny
buchalterów, bo rachunek musi się zgadzać.

Kiedy przychodzisz, taka nieoczekiwana,
choć wiem dobrze, że stałaś w progu przez cały czas,
jestem zaskoczony, ale i uradowany.
Gość w dom i od razu więcej śmierci.

Więcej śmierci i męki, co śmierć poprzedza.
Męki, o której strach mówić. Nie mam na to
pozwolenia. Męki są niezbędnym składnikiem
pory jasnej i nie wolno ich zagubić przed
nastaniem pory ciemnej, bo kara.

Dlaczegoś tego nie zrobił o czasie, pytają
goście przybyli na wciąż odkładane zaślubiny?
Mamy prezenty i spust na rosół z makaronem.
Mają ogromny apetyt, a ja umieram z głodu.

Jest też żałobna kapela. Będą bułgarskie
zawodzenia i powolne rytmy rozwleczonego marsza.
Będą atrakcje niezwykłe dla gości przybyłych
w ostatnich dniach autobusami Pekaesu
ze wszystkich stron.

Kiedy przychodzisz, wstyd mi, bo wciąż tu jestem,
a obiecywałem inaczej. Kłamliwy chłopiec,
wciąż nie umie zdecydować, czego pragnie.
Oddycha powietrzem odlanym z metalu
o nieznanej nazwie i wydycha płatki rdzy.

NOWA MIŁOŚĆ

Odkąd kurz zaczął do mnie mówić,
polubiłem wspominanie, bo on zawsze
mówi tylko o przeszłości.

Opowiedzieć smutek kurzu? Takiej
rezygnacji nie zniesie żadne serce,
żaden wiersz temu nie podoła.

Jego wszechobecność zapowiada:
kiedyś będziemy tacy sami, poszarzali,
bezkształtni, a jednak wciąż obecni.

To nie jest sielanka. Bywa czasem
bardzo ciężko. Zwłaszcza, kiedy on
pyta, jak zniesiesz wymuszoną ciszę.

Zamieszkamy w wulgarnej norze,
w szparze podłogi. Codziennie będziemy
umierać i rodzić się na nowo.

Kurz przemawia moim głosem,
ma moją skórę, mój zarost, moje włosy.
W końcu dam mu swoje serce.

ŻEGNAJ LALECZKO
Tribute to Raymond Chandler

Wkurwia mnie to umazane okno, bo nawet nie jestem pewien, jaka
za nim jest pogoda. Na pewno mamy upały stulecia, bo pocę się

od samego patrzenia. Więc mimo skwaru umyję to szare okno!
Piszę, żebyś wiedziała, ile to wymagało wysiłku. Wiem, że tego

nie docenisz, ale co tam. W moich oczach i tak będę bohaterem. Tylko
muszę oprócz wiersza i umycia okna, wymyślić jakiś chwytliwy

slogan. Wiesz o co mi chodzi? No, o taką odzywkę w stylu prozy
Chandlera, który wymyślił twardych facetów o miękkim sercu. Nieco

szorstkich, odrobinę nieogolonych, palących zbyt dużo papierosów,
żeby robić coś więcej niż to, co właśnie robią. Kto nie chciałby mówić

głosem przepalonym na wylot do tajemniczych kobiet? No więc ja
mógłbym to robić bez przerwy. *A będziesz tu, kiedy wrócę?*

TEN CZŁOWIEK

1.
Raskolnikow leży w łóżku, więc odpowiedzialność
spada na producenta, a także na wynalazcę.
Autorzy idei pieniędzy i siekiery również są podejrzani.

Raskolnikow ponuro wpatrzony w sufit jest niewinny.
Niewinny jest sufit i ponura mina. Nawet jeśli malarz
niedbale pomalował sufit, to nie jest powód
by chwytać za siekierę, zabijać staruszkę i tak dalej.

Raskolnikow upada i zaraz ktoś podaje mu rękę.
Nie jest to pomocna dłoń, to ten człowiek, Dostojewski.
Tchórz, co chciał zabić staruszkę, a nie miał dość odwagi,
dlatego wsadził siekierę w ręce innego człowieka.

Raskolnikow jest niewinny, naprawdę nazywa się
Dostojewski, nienawidzi Żydów, Polaków, staruszek,
lichwiarzy. Dostojewski nie wie, że słowa rządzą wszystkim.
Gra na emocjach, tak myśli, a bawi się w Boga.

2.

Papierowy bohater i tak
weźmie wszystko, co dostanie.
Ktoś inny siedzi za sterami
klawiatury i cudzy bełkot
staje się nim, jego mową,
myślą, zaniedbaniem.

Czyja to jest wina? Nikt
nie mówi tak, jak mówią
w książkach. W życiu naprawdę
dominuje słowotok. Strumień
bzdur bez sensu, bez ładu,
składu, składni i formy.

Polak niech się nazywa
Raskolnikow. Polacy to świnie,
taki zrobi dla pieniędzy
wszystko, zabije staruszkę
dla garści rubli. I co ty na to?

Nikt cię nie zapytał, prawda?
Więc zostałeś mordercą.
Nikogo nie zabiłeś, ale zabijesz.
Twój los i los staruszki
przesądzone na zawsze.

Hej, Papierowy, spójrz no,
jak czytelnik drży. Widzisz?
On też chciałby zabijać, ale
brak mu odwagi. Nie nazywa się
Dostojewski, nazywa się inaczej.

3.
Na co komu moralista?
Bigotom na pociechę,
maturzystom na temat,
pozerom na pozę,
idiotom na zabawę.

Jeśli uwiera cię moralista,
złóż go w kostkę, niech
będzie krótszej nodze
stołu na podparcie.
Ale na Boga, nie pytaj
moralisty, jak żyć!

Ci, co wiedzą, milczą,
bo usta mają zagipsowane,
chcieliby wyć, a nie wolno.
Dlatego świat jest
rozgadany świergotliwie.

Nie wystarczy kogoś
nienawidzić, to za mało.
Spróbuj go pokochać
takim, jaki jest w tej chwili.
Leży na łóżku, ponuro
wpatrzony w sufit.

Dostaje zaproszenie
i czek. Princeton zaprasza
Raskolnikowa na stypendium.
Napisze książkę o
rosyjskich nihilistach.

W PIERWSZEJ OSOBIE

W niedzielę po południu podmiot liryczny tego wiersza
szedł ulicą Narutowicza i widział słońce, wielkie i czerwone.
To mogło być serce świata, wielki purpurowy znak
obejmujący wszystko.

Podmiot liryczny uznał znak. Pięć minut później
pomyślał, że było tylko zachodzące słońce.
I wtedy rzekł sam do siebie – jak zawsze zero ambicji,
czysta, bezpieczna przyziemność!

Ale nie mógł wrócić do minionej chwili, by oddać hołd
wielkiemu Buddzie przeszłości, Słońcu, które cierpliwie
nauczało w tym zakątku wszechświata, oświetlając
i ogrzewając wszystko bez różnicy.

Gdy podmiot wracał, było już ciemno, a Słońce
nauczało na drugiej półkuli, niestrudzenie pokazując,
czym jest bezinteresowna miłość. Tymczasem inny Budda
pokazywał, jak wielką iluzją jest widzenie i widzialne.

Wobec tak głębokiego nauczania udzielonego
z wielką miłością dla wszystkich odczuwających istot,
podmiot liryczny wykonał na pustej ulicy pokłon
i poczuł się oświecony mimo ciemności.

KAŻDY BYLE KTO

To się przydarza. Zwyczajnie,
bez wysiłku. Patrzysz, wciąż
po stronie snu, w okno i nic.

Widzisz okno i słońce za nim.
Wiesz gdzie jesteś. Kotka
jest o krok za tobą. Patrzycie.

To mogłoby być każde inne
miejsce. Oswajanie trwałoby
tyle samo, tyle co nic.

Ocean języka nie jest nam
już potrzebny. Każda kropla
jest oceanem. I co dalej?

Niebo jest wielką pieczęcią
błękitnego oceanu. Twój cień
pieczętuje puste miejsce.